

Jan Błoński

Podpalenie Arkadii

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 2, 122-131

1972

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Jan Błoński

Podpalenie Arkadii

Zoil

Stanisław Barańczak wstąpił w literaturę podwójnie zbrojny: w prawej ręce lira, w lewej — pióro zoila. I nie wiadomo, kiedy biegłyjszy: jako poeta czy jako pogromca poetów. Dla Barańczaka (urodził się w 1946 r.) młoda liryka ostatniego dziesięciolecia to już przeszłość: jeszcze żywa, ale już nienawistna. Znęca się też nad swoimi rówieśnikami — czy ledwo poprzednikami — z okrucieństwem, do którego upoważnia bardzo zażyła znajomość. Panoramę młodej poezji, wymalowaną żółcią i jadem, można tylko podziwiać¹. Barańczak nie bawi się w grzeczność, co już jest zasługą w czasach, kiedy obłudny uśmiezek i zakulisowa intryga zastąpiły lojalne — bo jawne — starcie gustów i intelektów.

Poezja dziesięciolecia to wyraz i dokument dezercji. „Lata sześćdziesiąte — powiada — to dziesięciolecie społecznego minimalizmu” (s. 32); to lata stabilizacji, ale stabilizacji pozorów; co zaś „w życiu społecznym jest stabilizacją — uogólnia przesadnie, bo zależy co się stabilizuje — w życiu literackim objawia się jako — łatwizna” (s. 33). Młodzi poeci

¹ Stanisław Barańczak: *Nieufni i zadufani*. Poznań 1971.

szukali estetycznej harmonii... przymykając oczy: „bohater liryczny przeważającej części młodej poezji to *Homo fugiens*, człowiek uciekający, chroniący się bez przerwy przed światem w coraz to nowe azyle, jakich dostarcza mu poezja” (s. 160). Sceptyk powie, że geniusz buduje arcydzieło nawet z lęku i nerwicy, jak choćby Kafka. Ale łatwo odpowiedzieć: artysta, który ucieka od świata, musi przynajmniej nazywać po imieniu powody, dla których go nie lubi. A tak, powiada Barańczak, nie było: „młodej poezji brak całościowego systemu, pozwalającego na uporządkowanie rzeczywistości” (s. 22), choćby znienawidzonej.

*Homo
fugiens*

Najbardziej więc gniewa Barańczaka tchórzostwo, chowanie głowy w piasek, dziecinne odwracanie oczu. Przed kilkunastu laty, kiedy w modzie były inne terminy, powiedziałyby może: nieautentyczność? Działalność poetów pozwala tylko na „porządkowanie pojedynczych, wyrwanych z kontekstu elementów rzeczywistości, które funkcjonują w wierszu na prawach ozdobnika (...) młoda poezja lat sześćdziesiątych znalazła się, wraz z całym bagażem swoich małych mitów, po jednej stronie barykady z obozem tzw. małego realizmu w prozie” (s. 22). Spostrzeżenie, na które Barańczak wpadł chyba nie pierwszy, co wszakże nie ujmuje mu słuszności.

Małe mity

W nowej twórczości nastąpiła osobliwa specjalizacja: prozie przypisano naturalistyczne kronikarstwo, poezji — estetyczne dekorowanie świata. Kronikarze nie umieli zobaczyć praw i całości, ograniczali się do małych losów, przeciętnych przygód, przypadkowych prawd. Bali się smrodu i brudu, hałasu i drastyczności, które niesie zwykle naturalizm; przezwali się więc „małymi realistami”; a przecie naturalizm jest stałą nutą nowoczesnej literatury, dokuczliwym *basso continuo*, który winien przypominać o istnieniu „niedobrego świata” i jego cuchnących spraw... „Mały realizm” najsurowiej oceniłby jego własny rodzic — naturalizm, którego możliwości bynajmniej nie zostały wyczerpane. Tym-

Dekorowanie
świata

czasem dekoratorzy ozdabiali: miłość, krajobraz, *Weltschmerz* czy politykę; „za wystarczający miernik zaangażowania, nie dość tego: za jedyne zadanie pisarza uważali przeniesienie ze świata zewnętrznego w świat przedstawiony pewnej sumy przedmiotów (...) nie zaś struktury rzeczywistości, która ma do siebie to właśnie, że jest systemem dialektycznie przeciwstawnych napięć” (s. 22). Już nie muszą dodawać, że główną troską poety staje się wtedy należyte ozdobienie owych przedmiotów, które wydziobuje pracowicie z rzeczywistości, aby polukrować je poetycko w „przedstawionym świecie” fantazji.

Sentymentalne
wytchnienie

W tropieniu skrytek i zakamarków, gdzie chowa się *homo fugiens*, Barańczak okazuje się równie perfidny co niezmordowany. Gdzie ten człowiek ucieka? Jak się chowa? Otóż najpierw w eleganckie definiowanie „składników świata, ujmowanie ich w błyszczące ramki schludnego, wypracowanego porównania czy metafory” (s. 112). Dalej — w złudę lirycznej wszechmocy; w nadmierną wysokość stylu, która każe ograniczać słownictwo i nadużywać słów dostojnych a pustych; w „momenty sentymentalnego wytchnienia w kręgu Spraw Prostyh a Zrozumiałych” (s. 138). I wreszcie: w spadek kulturalny, pojęty jako bezkonfliktowy raj, podczas gdy naprawdę kultura jest rozżarzonym popiołem, gotowym spłonąć się i wybuchnąć przy lada dotknięciu... Ale czuję, że upraszczam: bo Barańczak bierze pod uwagę programy i spełnienia, naczelne tendencje i pospolite przekształcenia (np. równoległość estetyzmu i antyestetyzmu).

Zapewne, nieraz się myli, jak w ocenie Wojaczka; albo wykręca sianem, nie rozliczając się z patronami, ale wyszydzając epigonów. Skoro gniewa się na poetów archetypu, powinien powiedzieć, co mniema o Rymkiewiczu; skoro wydrwiwa paradoksalny estetyzm turpistów — co myśli o praktykach Brylla czy Grochowiaka. Pojmuję jednak, że nie czuje w sobie powołania sędziego, ale raczej prokuratora,

i że skupia się bardziej na rówieśnikach niż na poprzednikach. *Nieufni i zadufani* zachowają na pewno wartość diagnostyczną i dokumentalną. Tym bardziej, że Barańczak nie poddaje się szantażowi nowoczesności. Powiada, że „poezją może być wszystko, jeżeli jest funkcjonalnie zorganizowane” (s. 123), czyli że warunkiem poezji jest spoistość i porządek, choćby najbardziej wymyślny i trudny do odszyfrowania. I nie boi się oświadczyć, że młodzi poeci wielokrotnie przekraczają „próg semantycznej więzi” skojarzeń (s. 118), tarzając się bezwstydnie w rozrzuconych kartach słownika...

Jak zaś Barańczak podsumowuje „człowieka uciekającego”? Otóż sądzi, że gotów on na wszystko, byle tylko zobaczyć świat harmonijnie; że najchętniej wmówiłby w rzeczywistość harmonię i zamknął się w „arkadyjskim ogrodzie szczęśliwości” (s. 160) zadufanej i samozachwyconej. Trudno zaprzeczyć, że tak właśnie wielu młodych pisarzy grzeszyło. Ale czy wszyscy? I czy naprawdę można nazwać tę skłonność (czy ułomność?) — klasycyzmem? Bo oto Barańczak, zamknawszy wszystkich swoich przeciwników (nie tylko Zadurę i Jerzynę, ale także Bordo-wicza i Wojaczka) w pojemnym pojęciu klasycyzmu, opowiada się sam, jak Polakowi przystało, za romantyzmem, oczywiście dialektycznym!

Czy jednak nie powinniśmy wystrzegać się przezw i nadużywać cierpliwości terminów? Jak bowiem definiuje Barańczak klasycyzm i romantyzm? Za najważniejszą cechę klasycyzmu uznaje ufność wobec rzeczywistości czy porządku świata, romantyzmu zaś — nieufność, co wyraził już tytułem książki. Pierwszemu kazał opierać się na myśleniu arbitralnym, na łączeniu i wynikaniu (s. 23), na metafizyce lub naukowym doświadczeniu (s. 19). Drugi zaś — powiada — rodzi się z myślenia dialektycznego, z zasady wyłączności i przeciwstawności (s. 23), z współistnienia sprzeczności (s. 14), z demaskowania istniejącego porządku dla przyszłej syntezy obecnych antynomii (s. 18).

Raczej
prokurator

Romantyzm
- oczywiście -
dialektyczny

Za łatwa
dychotomia

Wszystko to ładnie wygląda na papierze... przynajmniej dla pisarza, bo filozof zaraz by perfidnie poprosił, aby mu ściślej określić Barańczakowe „odmiany myślenia”. Ale pod warunkiem, że zapomni się o rzeczywistej różnorodności literatury! Dychotomia Barańczaka przywodzi na myśl i „wieczny barok” Eugenio d’Orsa, i oscylację romantyczno-klasyczną prof. Krzyżanowskiego, i nawet „kapłana i błazna” Kołakowskiego. Aż dziw, że Barańczak nie przypomniał Jaspersa z jego normą dnia i pasją nocy! Podział niemieckiego filozofa — symboliczny, świadomie mglisty — najlepiej jeszcze obejmuje poprzednie. Jaki jednak z tych przeciwstawięń pożytek? Jako nieuleczalny demokrat, gotów jestem wysłuchać wszystkich podziałów: niechże nawet i krowy — jak chcieli dawni Chińczycy — dzielią się na czarne, białe, łaciate i należące do cesarza! Ale to nie znaczy, że wszystkie klasyfikacje są tyle samo warte. Pan Bóg dał nam rozum po to, abyśmy się nim posługiwali jak najbardziej intensywnie: dlatego wnoszę o stosowanie podziałów ściślejszych, subtelniejszych i bardziej złożonych! Owszem, to prawda, że istnieje noc i dzień, serce i intelekt, dusza i ciało, harmonia i dysharmonia. Ale bogactwa ludzkiej sztuki — ludzkiego wysiłku — nie można dzisiaj w podobne sieci pochwytać.

Prus i Eliot

Dowody — w *Nieufnych i zadufanych*. Bo łatwa antynomia łatwo ponosi! Powiada na przykład Barańczak, że „myślenie dialektyczne w przeciwieństwie do — będącego przecież rodzajem wiary — myślenia arbitralnego musi być indywidualne” (s. 29). Bardzo to być może... ale ja pamiętam jeszcze, że myślenie arbitralne opiera się podobno na łączeniu i wynikaniu... i (z właściwą sobie arbitralnością) wnioskuje, że wiara i dedukcja to jedno..., podobnie jak „myślenie arbitralne” i postępowanie przyrodnika łączącego i porządkującego obserwacje i doświadczenia. Uspokoiwszy tak wiele myślowych rozterek, wpycham do wspólnego worka Platona i Akwinatę, Carnapa i Maritainę, Racine’a i Zolę,

Prusa i Eliota — wszystkim wypalając na czole hańbiące piętno klasyka i wszystkich pospołu oskarżając o ujarzmianie jednostki! Ale powie ktoś może, że Barańczak nie ma żadnych ambicji filozoficznych czy historycznych. Jego podział jest wynikiem operacji *ad hoc*, przeprowadzonej po to, aby szybko i zręcznie pogrążyć poetyckich przeciwników. Oczywiście, że tak! Ani na chwilę nie podejrzewam, że Barańczak nie umie rozróżnić Spinozy od św. Teresy.

Wszystkie jego klasyfikacje — to tylko literacka taktyka! Upieram się jednak, że taktyka krótkowzroczna. Bo nowość, jeśli nowa, żąda nowego nazwania i można porazić twórczość, proponując poemtom nieporadne narzędzia autoanalizy. Omylny program, nieszczęśliwa nazwa (jak rymkiewiczowski klasycyzm...) wykolejają z punktu rozumienia, wpędzając w pseudodyskusję poświęconą nie literaturze, ale znaczeniom terminu. „Teatr absurdu”, „antypowieść”; przelano morza farby drukarskiej, zanim się pisarze (nie mówiąc o czytelnikach) połapali, o co naprawdę chodziło. Bo przecie nie o absurd ani zniszczenie powieści!

Romantyzm, nawet dialektyczny, to danie zbyt często odgrzewane w polonistycznej kuchni. Kucharz mówi do kucharza, liczę więc, że się Barańczak nie pogniewa. Ale nie pomoże mu nawet docent Kmita, który rozszczepił klasycyzm na dogmatyczny („przyjmujący porządek idealizujący za rzeczywistość”) i sceptyczny, romantyzm zaś na anarchiczny, naiwny i dialektyczny. Obaj wrogowie klasycyzmu nie przypadkiem nie podali przykładów: zlekli się, że przyjdzie im zaliczyć do dogmatystów największe duchy ludzkości. Tylko Conrad poszedł w klasyki sceptyczne. On, Conrad, w klasyki! I jeszcze sceptyczne! Doprawdy, niczego nam uczeni nie oszczędzą. A prawda jest po prostu taka, że Barańczak, chociaż sam systematyczny, nie lubi ducha systemu, że złości go estetyzm, stylizacja, normatywna (choćby po cichu) poetyka i arkadyjska obojęt-

Taktyka
krótkowzroc-
na

Nie pomoże
docent Kmita

ność. Słusznie, po co jednak przewracać groby? Nie jest tak, aby ludzkość grała ciągle tymi samymi kartami. Zmieniają się nie tylko nazwy, także wartości — chociaż uczestniczą we wspólnej substancji „romantyzmu” czy „uczucia”. Ale znamionami oryginalności są różnice; podobieństwa dowodzą tylko, że jesteśmy ludźmi. Dlatego od „romantyzmu” wolę każdy termin, z barańczakizmem włącznie.

Tym bardziej, że — jako liryk — wcale Barańczak taki romantyczny nie jest. I recepty, jakie proponuje poezji, umykają zupełnie dawnym problemom i podziałom. Do kogo się ten „romantyk” odwołuje? Otóż do Karpowicza, Wirpszy, Białoszewskiego, Balcerzana. Do poetów „lingwistów”, drążących zagadki i wieloznaczności języka. Taka właśnie liryka stanowi dla Barańczaka „najpełniejsze wcielenie (...) romantyzmu dialektycznego” (s. 42), ponieważ „postawa nieufności osiąga tu swoją pełnię: demaskacja dotyczy budulca samej poezji, języka, ujawnia tkwiące w nim obiektywnie sprzeczności, jego ambiwalencję, która jest ambiwalencją nie tylko znaczeń, ale i konsekwencji światopoglądowych” (s. 31). Barańczak powiada wręcz, że „lingwiści” najdobitniej ostrzegali przed faszyzmem i najwnikliwiej go roztrząsali.

Poeci lingwiści

Pojmuję intencję Barańczaka, boję się jednak, że postawił nadto śmiało *iunctim*. Ach, nie zapytam, jak płaski felietonista, jakim to cudem „muzanatchniuz” Białoszewskiego albo „oko, co stawia sobie czoło” Karpowicza przyczyniają się do walki o swobodę i odpowiedzialne braterstwo ludzi. Rozumiem bowiem, że odwaga, niezależność, mądrość nie muszą wcale objawiać się na terenie publicystyki; zgadzam się także, że znieprawienie słowa stanowi i wyraz, i narzędzie wyobcowania czy niewoli. Szanuję wreszcie poetów, o jakich mówi Barańczak, i chętnie przyznałbym im podobną co on zasługę. Ale *magis amica veritas* i muszę postawić sobie pytanie, czy stosunek do języka, jaki zachwała Barańczak, naprawdę ma — z istoty swojej — tak ożywcze cno-

ty? Tak na przykład mówi on, że poezja Karpowicza wskazuje, iż „*common sense* i *common language* kłamią o rzeczywistości: próbując uprościć, uschematyzować jej pełne sprzeczności pogmatwanie, w istocie same popadają w wewnętrzne sprzeczności. Jest zarazem (...) propozycją (...) postawy otwartej na wszystkie sprzeczne racje, a dokonującej wśród nich świadomego wyboru” (s. 68). Jednak Karpowicz nie wyborem cieszy i uwodzi czytelnika, lecz właśnie — płynnością znaczeń! I czy cnota na prawdę musi być oparta na wieloznaczności? , Język upraszcza rzeczywistość: zgoda. Jesteśmy więźniami kalk, stereotypów, zdartych metafor i mechanicznych odzywek. Jak świat światem, poeci bronili się przed zużyciem mowy i mowy bronili przed zużyciem. Czy jednak koniecznie — igrając arbitralnością znaków? Rozpętując sabat kalamburów? Rozluźniając związki między słowem a pojęciem? Pamiętam także poetów, którzy się modlili, aby prawo zawsze prawo znaczyło, a sprawiedliwość — sprawiedliwość. Marzyli — przeciwnie — o jednoznaczności języka.

Tak, to prawda, że ekonomia języka jest dla Karpowicza źródłem nieustannych podejrzeń; i nie ma nic haniebnego w poetyckim rozlubowaniu w kalamburze, dowodem Joyce. Ale nie jest przecie tak, aby — rozkładając słowa i zwroty lub wtrącając czytelnika w językowy zawrót głowy — Karpowicz dokonywał operacji z istoty i koniecznie ozdrowieńczej! Znadto on przecież artystą! Jemu się na prawdę podoba złośliwość języka; to zaś, że w zdartym zwrocie dostrzega sprzeczności, tyleż go cieszy, co oburza. Właśnie — nie dokonuje wyboru, ale unaocznia chytrość, perwersyjne możliwości języka! I znowu — nic w tym złego. Jak nie ma nic złego w muzyczno-intelektualnych wariacjach Wirszy, w których — muszę przyznać — często się gubię. I Barańczak wcale mi — niestety — nie pomógł zrozumieć meandrów tej osobliwej wyobraźni. Co

Stosunek do
języka

Sabat kalam-
burów

Chytrość
języka

może dowodzi, że swoimi teoriami nie utrafił dokładnie w oryginalność Wirpisy.

Cały rozdział o „szkole bez uczniów” brzmi znacznie mniej przekonywająco niż napaści Barańczaka. Poczynając od tytułu. Barańczak przesadza twierdząc, że młoda liryka „zdecydowaną niechęcią darzy wszelkie słowiarstwo, traktując je jako językową igraszkę (...) twórczość lingwistów jest istotnie tradycją negatywną lwiej części młodej poezji” (s. 41). Ale przecie i ja czytuję wiersze, recenzuję tomiki. Ilu młodziutkich „słowiarzy” spotkałem! Zgoda, że łatwych, nudnych, ślizgających się po powierzchni kalamburu jak po skórce banana. Ale nieładnie odcinać się od naśladowców, za zapoznanych uważać poetów, za którymi, jak za panią matką, biegają całe szkółki. Naprawdę bowiem „słowiarstwo” bywa środkiem ucieczki równie często co „formulizm” albo sentymentalizm. Grzebać można w słowach jak w znaczkach pocztowych. Nie ma żadnej immanentnej prawdy albo nieprawdy języka. Decyduje to, co słowa znaczą i czego od słów chcemy. Nie tkwią też w języku żadne „obiektywne sprzeczności”... albo też tkwią wszystkie, co na jedno wychodzi. Mniemać inaczej jest złudzeniem poetów.

Jako liryk Barańczak wywodzi się od „lingwistów”, którzy olśnili go niegdyś i pozostawili znaczne ślady w jego twórczości. Spłaca im teraz dług wdzięczności. Doskonale! Jednak, gdyby nie jego własne wiersze, trudniej przysłoby mi uwierzyć we wszystkie implikacje słowiarstwa, które wspaniałomyślnie przyznaje poprzednikom. Poezja „lingwistyczna” była długo poezją samotników i intelektualistów. Barańczak przydał jej ton osobistej i społecznej zaciekłości, której była na ogół pozbawiona. Odmłodził tak i odnowił nazbyt subtelne melanje. I nie przypadkiem, zamykając książkę, opowiada się po stronie tych, co wprawdzie nie wiedzą jeszcze dokładnie, kim będą, ale do słowiarstwa się nie ograniczą: Krynickiego, Markiewicza, Karaska. Tak

Iluż „słowiarzy” spotkałem

Rodowód
poetycki

więc w rodowodzie Barańczaka „lingwiści” zajmują miejsce ważne, może nawet pierwsze, ale nie jedyne i chyba nie najbardziej frapujące.

Nieufnych i zadufanych nie będą zapewne czytać badacze literatury. A to jednak szkoda, bo można z tej książki sporo nauk wyciągnąć. Pokazuje ona jak na dłoni „poetykę” programu, ograniczenie krytyki, funkcjonowanie życia literackiego. Rzadko się zdarza, aby książka krytyczna wyszła równie w porę. Albowiem od dwu lat zmienia się coś naprawdę w polskiej poezji. I słuszność ma Barańczak, kiedy mówi, że przejadły się formalizmy, klasycyzmy, hybrydyzmy. Może dlatego, że nie wydały dostatecznie silnych talentów — ale kto wie, czy te talenty, zagrożone porażką, nie odkwitną niespodziewanie? Załóżmy teraz, że ze zniecierpliwienia, gniewów, marzeń, jakie — nie tylko w swoim imieniu — zgłasza i wyraża Barańczak, powstanie arcydzieło. Nad *Nieufnymi i zadufanymi* pochyla się wtedy skrupulatni egzegeci i powiążą wszystkie niekonsekwencje tej książki w misterne i spoiste całości. Ale liryczna posucha strąci *Nieufnych* w niepamięć. Albowiem wartość programu i polemiki jest funkcją zapowiedzianego rozwoju. Aby były skuteczne, muszą być nie tylko niesprawiedliwe, ale nawet jawnie nieroztropne. Barańczakowy „romantyzm” jest dla historyka literatury banałem albo urojeniem. Ale ewentualne arcydzieło zmieni tego historyka w podręcznikowego osła, w pośmiewisko pokoleń badaczy. Stronniczość i wyjaskrawienie — nie mówiąc o nadużyciu terminów i fałszowaniu genealogii — jest przywilejem twórców programów. Muszą wszakże pamiętać, że nie ma litości dla pokonanych. Taka jest wielkość i śmieszność krytyki.

Wartość i skuteczność programu